



WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI

NIE ŹMIERAJ DO JUTRA

MARGINESY

ZJER

HISTORIE WARSZAWSKICH ROBINSONÓW

WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI

NIE UMIERAJ
DO JUTRA

MARGINESY

OD AUTORA

Panuje pogląd, że był taki okres w historii Warszawy, kiedy to miasto stało się całkowicie martwą, pozbawioną ludności pustynią gruzów. Chodzi o sto dni – od upadku powstania, czyli podpisania aktu kapitulacji 2 października 1944 roku, do wyzwolenia stolicy przez oddziały polskie i radzieckie 17 stycznia 1945 roku.

To nieprawda. Warszawa nigdy nie była „królestwem bez poddanych”. Nawet w tym strasliwym czasie, kiedy na rozkaz von dem Bacha kto żywy miał opuścić stolicę, kiedy w lewobrzeżnej Warszawie przystąpiły do działania niemieckie ekipy specjalne, powołane w celu ostatecznego zniszczenia stolicy, aby zgodnie z wolą Hitlera „zrównać Warszawę z ziemią i wymazać ją z mapy Europy” – nawet wtedy istniała społeczność warszawska, jedyna w świecie Rzeczpospolita Gruzów.

Warszawscy Robinsonowie...

Byli wśród nich tacy, którzy nie mieli innego wyjścia – musieli się ukrywać. Mężczyźni uciekający przed

Copyright © by Waclaw Gluth-Nowowiejski

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2019

rozstrzelaniem, powstańcy okrążeni w beznadziejnym pierścieniu, grupy żydowskie... Byli tacy, którzy na zimno dokonali wyboru. Schronienie w ruinach woleli od wygnania z miasta, terroru, poniewierki, obozu.

Wszyscy znaleźli się w sytuacji prawdziwie dramatycznej. W ogromnej większości wykazali niezwykły hart ducha, męstwo, odporność fizyczną. Dla niektórych warunki życia w gruzach okazały się niestety zbyt surowe – umierali lub załamywali się, opuszczając kryjówki. Jeśli wpadali w ręce Niemców, los ich był przesadzony.

Swoje kryjówki mieli we wszystkich dzielnicach na lewym brzegu Wisły – w Śródmieściu i na Woli, na Mokotowie, Ochocie i Żoliborzu. Im lepiej zamaskowane, tym większe dawały nadzieje przetrwania.

Najgorzej było z żywnością. Gdzież ją znaleźć po dwóch miesiącach powstania! Myszowali więc po piwnicach, opuszczonych mieszkaniach i zdobywali jakieś resztki. Ale i one się kończyły. Równie dużym problemem było zaopatrywanie się w wodę. Rozbite filtry nie pracowały, pozostały jedynie studnie. Ze studni jednak korzystali przede wszystkim Niemcy. Dobrodziejstwem stały się więc śnieg, lód – z tego była woda! Zaszyszając się w gruzach wczesną jesienią, Robinsonowie nie przypuszczali, że przyjdzie im spędzić tu i zimę. A listopad i grudzień 1944 roku były mroźne, wiał lodowaty

wiatr, sypał śnieg. Nakładali na siebie wszystko, co udało się znaleźć w piwnicach. Niektórzy ryzykowali nawet ogrzewanie płomykami koksu. Bardzo niebezpieczne były to poczynania.

Spali głównie w dzień. Wychodzili nocą. Nauczyli się poruszać bezszelestnie, zawsze czujni. Wiele tygodni życia w stałym zagrożeniu wyostrzyło zmysły wzroku, słuchu, węchu.

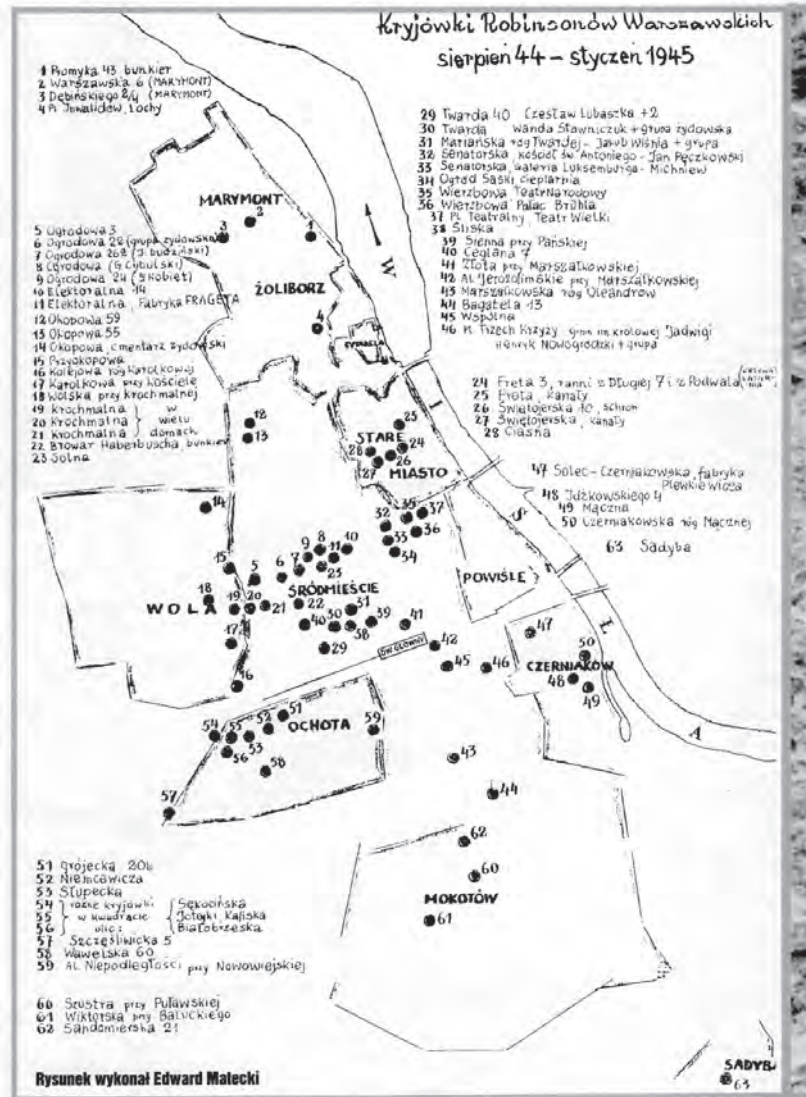
Ukrywali się przeważnie w grupach. Najłatwiej było w trzy–pięć osób, choć zdarzały się i liczniejsze zespoły. Samotników było niewielu i tylko niektórym udało się przeżyć te długie, straszne miesiące w pojedynkę.

Książka zawiera dziesięć opowiadań o warszawskich Robinsonach. Osiem to wierny zapis autentycznych wydarzeń. W jednym, opisując powojenne fakty, źródeł ich szukam w epoce Rzeczypospolitej Gruzów. Jedno jest legendą. Ostatnie, *Jesień na Marymoncie*, to opowiadanie autobiograficzne.

Około tysiąca osób ukrywało się w gruzach lewo-brzeżnej Warszawy. Przetrwało i uratowało się kilkaset. Wszyscy byli niewątpliwymi bohaterami ostatnich miesięcy wojny. Warszawa powinna o nich pamiętać. Polacy powinni o nich pamiętać...

Odchodzą świadkowie. Niechaj pozostanie zapis ich przeżyć.

KRYJÓWKI ROBINSONÓW WARSZAWSKICH



Z O S T A J Ę !

Decyzję Czesława Lubaszki uznano za szaleństwo. Zostać w Warszawie, kiedy bezwzględny okupant nakazał wszystkim opuścić miasto! Pięć lat okrucieństwa sił hitlerowskich, zwłaszcza podczas masakry na Woli, Starym Mieście, na Powiślu czy w Śródmieściu, zbyt ciężko doświadczyło cywilów, by nie liczyć się z kolejnym aktem gwałtu. Tkwić gdzieś w kryjówce w nieustannym pogotowiu, bo wykrycie nieposłusznych równa się niechybnej śmierci! Skazywać się na powolne konanie bez dachu nad głową, bez wody i jedzenia, bez jakichkolwiek możliwości poruszania się. A jeśli niemieckie patrole z psami będą szukać życia w gruzach? A jeśli przyjdą chłody, śniegi, zawieje? Jeśli w to jaskiniowe życie wkradnie się choroba?

– Wolę to od poniewierki, wywiezienia do Niemiec – odpowiada Lubaszka. – Dwa, trzy tygodnie i front przekroczy Wisłę. Wytrzymam.



Czesław Lubaszka, kapral Wojska Polskiego.

Jest silny i uparty. Wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę. Ileż to razy wychodził cało z beznadziejnych, zdawałoby się, sytuacji! Uda się i teraz.

Patrzy na niekończące się tłumy warszawiaków opuszczających miasto Grzybowską i Pańską, na ich bezgraniczną rozpacz i upokorzenie. Ale on, piekarz ze Śliskiej, nie dzieli ich losu, zostaje w Warszawie, nawet gdyby miał to przypłacić życiem. Czuje się po trosze jak kapitan statku pozostający na pokładzie do końca. Może bardziej Robinson...



Po kapitulacji powstania na rozkaz Niemców ludność Warszawy opuszcza miasto. Znaleźli się jednak śmiałkowie, którzy postanowili zostać.

Nie jest zresztą sam. Dołącza do niego jeszcze dwóch. Obserwuje ich z życzliwym zdziwieniem: we trzech będzie łatwiej, choć wymaga to potrojenia zapasów żywności, wody, broni i amunicji.

Czesław Lubaszka bierze w swoje ręce ster władzy. Zna doskonale teren. Tu mieszkał, tu w ostatnich tygodniach pracował w piekarni wyrabiającej chleb dla walczącej Warszawy. Potrafi też dobrze strzelać. No i odwaga nie odbiera mu rozumu, a zuchwałość sprytu.

Specjalnym doradcą szefa zostaje Kazimierz Jaworski, trzydziestotrzyletni zrzutek spadochronowy, równie szybko myślący, co strzelający, poza tym człowiek spokojny i opanowany, ale zdecydowany na wszystko. Kłó-

tu i ówdzie inni szykują sobie legowiska. Jeśli Niemcy odkryją choćby jedną kryjówkę, z całą bezwzględnością będą tropić pozostałe, jak desant na tyłach frontu. Kryjówka zatem musi być maksymalnie bezpieczna i niezłe wyposażona. Byle przetrwać do nowej ofensywy, która przecież nie powinna nastąpić później niż w końcu października...

Wybierają piwnicę domu przy Twardej 40. Mieścił się tu kiedyś skład broni akowskiej. Pozbawiona jest okna, ma jednak dopływ powietrza. Resztę muszą zrobić sami.

Gromadzą cały arsenał: peemy, pistolety krótkie, granaty. Wania, uszczęśliwiony, znalazł pepeszę i kilka bębnow amunicji.

– Jeśli nas wypatrzą, tanio nie sprzedamy skóry – zapowiada.

Rzecz w tym, że nie powinni ich wypatrzeć. Maskują wejście do kryjówki. Dźwigają całe elementy konstrukcji ścian i stropów, deski, blachę. Układają to wszystko w artystycznym nieładzie, by sprawiało wrażenie naturalnego zwaliska. Żeby dostać się do ich piwnicy, trzeba teraz przechodzić gruzowiskiem ze zręcznością kota. Nikomu na myśl nie przyjdzie, że istnieje tu taki apartament z trzema mieszkańcami.

Z okolicznych domów przynoszą kołdry, koce, masynekę spirytusową, denaturat, garnki. Zdobywają tro-

chę kaszy, soli, cukru i... sto pięćdziesiąt kilogramów mąki! Z pięćdziesięciu Lubaszka piecze chleb. Kilka naście bochenków jako zapas specjalny chowają w różnych zakamarkach strychu, pozostałe, jak też worki mąki, biorą ze sobą do kryjówki.

Penetrują okolice, przejścia w stronę Złotej i Marszałkowskiej oraz Ciepłej i Grzybowskiej. Sprawdzają, gdzie są czynne studnie, zaopatrują się w wodę.

Kiedy 8 października ostatnie grupy ludności cywilnej opuszczają śródmieście Warszawy, Lubaszka i jego towarzysze są całkowicie gotowi podjąć trud jaskiniowego życia. Obserwują oddalającą się kolumnę, niewielką, mając nadzieję na szczęśliwy koniec ich podróży. Jeszcze kilku maruderów, jeszcze trzymająca się pod rękę para staruszków, kobieta z wózkiem, dwoje dzieci z obandażowanym mężczyzną. I koniec. Miasto opustoszało, ucichło.

Wciskają się do swojej kryjówki, barykadują drzwi.

– Nasza łódź podwodna wyrusza w niebezpieczny rejs – mówi Jaworski. – Przez kilka dni w ogóle nie wypłyniemy na powierzchnię.

Dni są do siebie podobne. Noce również. Dzień zaczyna mylić się z nocą. Polegają, wstają, by rozprostować kości, mówią szeptem. Z ciszy wyłapują dźwięki, które mogłyby przynieść wolność. Ale nic się nie dzieje.



Ruiny przy ulicy Twardej, w pobliżu piwnicy kryjówek.

Czasem zaterkocze seria karabinu maszynowego, czasem wstrząśnie piwnicą detonacja pocisku artyleryjskiego. I znowu cisza.

Żują chleb, popijają wodą. Próbuje spać jak najdłużej, byle nie tylko czekać. Sen przychodzi jednak z trudem i więcej w nim koszmaru niż odpoczynku.

– Pójdę zobaczyć, co na zewnątrz.

Jaworski odtrąca Wanię od drzwi.

– Nie czas na samotne wycieczki.

Wychodzą wszyscy razem. Na początek trzeba odbarykadować drzwi, potem, zachowując maksymalną

ostrożność w tunelu wśród gruzów, wydostać się na ulicę. Zimno, wieje silny wiatr od Wisły.

Długo patrzą w milczeniu na coraz ciemniejsze ruiny Twardej. Rejestrują z uwagą ślady jakiegokolwiek życia. Na północ od Świętokrzyskiej płonie kilka domów, na Powiślu fale czarnego dymu odbijają się od nieba i rozplývają pod horyzontem. W nozdrza wciska się swąd płonącego miasta. Z wyraźnym zadowoleniem, jako konkretnego dowodu życia, słuchają psiej serenady dochodzącej gdzieś od Alei Jerozolimskich.

Ale co to? Kroki. Coraz bliżej! Przywierają do ściany.

Wyraźne sylwetki trzech Niemców w mundurach ochronnych, w hełmach, z pistoletami maszynowymi zawieszonymi na szyi zatrzymują się, by za chwilę wspiąć się na gruzowisko i... zniknąć za nim. Udało się!

Po upadku powstania i pozbyciu się całej ludności lewobrzeżnej Warszawy Niemcy na dobre zadomowili się w mieście. Bez obawy wędrują po wymarłych ulicach na skróty – przez ruiny. Taka ścieżka prowadzi niedaleko kryjówek. Chciałoby się urządzić jedną, drugą zasadzkę, pokąsać psubratów, strachu napędzić! Nie znaliby dnia ani godziny, nie wiedzieliby, skąd nadchodzi śmierć: z drugiej strony Wisły czy z sąsiedniej góry gruzów... Oj, duszo polska, Kmicicowa!

Realia każą zapomnieć o wojnie zaczepnej. Szansą na przetrwanie są tylko czapka niewidka, poruszanie

się bezszelestne, omijanie wielkim łukiem niemieckich ścieżek.

Portret warszawskich Robinsonów – spisany przez jednego z nich. Człowieka, który walczył w Powstaniu Warszawskim na Żoliborzu, a po jego upadku przez kilkadziesiąt dni ukrywał się na granicy śmierci w ruinach na Marymoncie.

W dziesięciu opowiadaniach sportretowani zostali ludzie, którzy w nieustannym zagrożeniu, w ekstremalnie trudnych warunkach, bez dostępu do pożywienia i wody żyli na zgliszczach. Najczęściej ukrywali się w piwnicach i na strychach, ale także na wieży kościelnej tuż nad głowami Niemców czy w piecach odlewniczych.

Wacław Gluth-Nowowiejski pokazuje, że Warszawa nigdy nie była „królestwem bez poddanych”. Nawet w tym straszliwym czasie po upadku powstania – kiedy kto żyw musiał opuścić miasto, a w jego lewobrzeżnej części przystąpiły do działania niemieckie ekipy specjalne powołane w celu ostatecznego zniszczenia i spalenia tego, co pozostało – istniała społeczność warszawska. Jedyna na świecie Rzeczpospolita Gruzów.

WWW.MARGINESY.COM.PL



9 7883366 140776

cena 34,90 zł

w sprzedaży także

